

J. POWALSKI.

# -- SZTANDARY --

## KSIĘCIA JÓZEFA.

Wszelkie prawa autorskie zastrzeżone.

11

Ignacy powziął jakieś podejrzenie. Nuż chce się upewnić, że nie mają nikogo do obrony, ani on świadka, i sprzątnąć ich po cichu? Wnet zawstydził się tego przypuszczenia. Przecież jeśli chciał, to mógł ich zarzącać we śnie jak kurczęta. A on ich wziął, położył, przyjął w dom.

— Nie szli, — rzekł. — My lasem chcieliśmy skrócić sobie drogę ku gościńcowi, i doszliśmy tu przypadkiem.

— W wojenny czas dak nikomu wierzyć nie można, — powiedział chłop podejrzliwie. — A jakiegoż wy pułku?

Wtem drzwi chrobotnęły, i ozwało się za niemi niecierpliwe słowo, którego Ignacy nie dosłyszał. Kudłaty człowiek stropił się.

— Bóg z wami, — rzekł. — Nie moja w tem głowa. Wojenny czas, dak trudno, wierzyć każdemu niebezpiecznie.

— Na nas się waćpan nie zawiedziesz, — powiedział Ignacy. — Rozumiem to, że w tych czasach ostrożności nigdy nie za wiele.

— Dak ja to raz wraz powtarzam, — rzekł Litwin z przekonaniem. — No trudno. Pani wola, nie moja. Przyjdzie się za to cierpieć, nie moja będzie wina.

Wzmianka o pani dopełniła konstrukcyi Ignacego.

— Podziękujże waćpan tej pani, — żywo podjął Ignacy — i powiedz, że wdzięczność nasza do grobu się nie skończy.

— Dak pewnie, — zgodził się Litwin.

Wtem drzwi stuknęły jeszcze niecierpliwiej i Litwin spłoszony powiedział spiesźnie:

— Przynieś tu co trzeba.

Wyszedł, zostawiając kaganek na stole. Za drzwiami zamkniętymi usłyszał zaraz Ignacy szept żywy i zniecierpliwiony:

— Telesforze, bałwanie! Jak oni umierają z głodu, to kto widział, żeby ich rozpytywać!

Szept zatarł się w oddalających krokach.

Ignacy tęsknie się uśmiechnął, przeciągnął, i pokulał do swego tapczana.

Przy mdłym świetle pryskającego na stole drobiuchnym języczkiem kaganka, rozpatrywał urządzenie izby.

Była niska, z grubemi belkami w pułapie, cała wybielona starannie. Podłoga z białych desek, zdeptana. W mrokach cmiły jakieś skrzynie, jakieś kożuchy czy skóry zwierzęce, wiszące na długim drągu wzdłuż ściany. Stół był na krzyżownicach, zydle proste, tapczany po wierzchu przykryte radowiną, widać by obcy nie pobrudzili pościeli. Ze ściany nad drzwiami sterczały gałęziste rogi jelenie.

Ignacy w monotonnym rytmie oddechu Bromirskiego zasłuchiwał się w głosy domu, które go z rzadka i niepewnie dochodziły, i wczuwał się w specjalny zapach domowy, w którym była woń skór, chleba, i słodki obrzask schnących drow.

Nagle gdzieś drzwi dalsze skrzypnęły, potem bliższe i Litwin wszedł znowu.

Przynieśli chleb, wędlinę, butlę zieloną z wódką, na ramieniu bieliznę i jakieś ubrania niewyraźne.

Pouczył Ignacego, że ma się wódką natrzeć i myć, bo od wody po takim mrozie pogniłoby mu ciało. Spojrzał na Bromirskiego, wziął kaganek, nachylił się nad nim, pomacał po czole.

— Niechaj spi, — rzekł po namyśle.

— Chory? — spytał Ignacy.

Litwin tylko ruszył niepewnie głową i wyszedł.

Ignacy rzucił się na chleb, na wędlinę. Bał się napić wódki, czując się czczym i osłabłym. Rozrywając zębami jedzenie, zrzucał swoje łachmany. Zwinął je ciasno, związał do wyrzucenia.

Potem gorączkowo, z zaciśniętymi z satysfakcyi zębami, począł się nacierać wódką, czyścić, szorować. Nie wiedział, jak długo to trwało. Miał poządanie gwałtowne stania się jak najczystszy, najporządniejszy. Żałował, że nie może się wykapać, wymoczyć w wodzie. Wreszcie ubrał się w bieliznę, w jakieś stare ubranie wytarte, z wdzięcznością owinął poranione nogi w świeże onuczki i nałożył łapcie.

Skończył jeść, i usiadł na tapczanie. Po wielkim ruchu i szeleszczeniu uciszył się, wszedł znow w swój los. Siedział, bardzo znużony, i pełen jakiejś rzewności. Zamykał oczy na wszystko inne, i rozważał tylko swoje położenie wobec tej pani, rząd-

kiej kobiety, niezwykle bezwątpienia, która go przyjęła (Bromirskiego do swych rozmyślań nie wciągał).

Budował bajki najrozmaitsze. Już marzenia przywierały mu oczy, wysnuwały senność, gdy nagle drzwi się z rozpędem otwały, i wszedł najpierw Litwin-sługa, a za nim kobiety.

Ignacy porwał się, zapominając o bólu nóg, i złożył ukłon wedle najwyszukańszych form.

Przed sobą ujrzał chciwymi oczyma starą, suchą w zielonych jakichś sukniach matronę, z której twarzy żółtej i zwiędłej biła zgroza i zdumienie. Pierwsze jednak, silne wrażenie tej maski, łagodziła jej nieruchomość: po pewnym czasie wzrok oswojony godził się już z tragizmem rysów, zapominał o nim, widząc w tem rzecz codzienną i konieczną. Na głowie miała czepec staroświecki, w rękach różaniec.

— Ot, — rzekł Litwin pokazując szerokiemi gestem ku obcych, — jacy oni.

Stara jejmość patrzyła, ruszając ustami. Za nią stała druga kobieta, i zabrała od razu oczy Ignacego, gdy tylko raz jego wzrok jej dotknął.

Była wysoka, młoda, rozkwitła w pełnych, lecz jedrnych formach. Miała czarne włosy, zielone oczy, czerwone usta, twarz okrągłą, gładką, szyję wyniosłą, giętką i białą. Stała za starą, w jakiejś pełnej swobody i pewności postawie. Na jej ustach pływał uśmiech znikomy, oczy o wielkich białkach, o rżesach długich jak czarne promienie, patrzyły spojrzeniem bystrem i kpiącym, od którego Ignacego przebiegła gorączka. Opamiętał się, i przedstawił się obu damom razem, wymienił nazwisko i stopień śpiącego, i podziękował za gościnę.

Stara dama wysłuchiwała go z przerażeniem, potakując głową.

— A tak! A tak! — potwierdziła, gdy skończył. — Otóż macie waćpanowie nasz czas nieszczęśliwy. A gdzież cesarz?

Brzmiało to tak, jakby spodziewała się go trochę u siebie, lecz i obawiała tej wizyty.

— Cesarz pojechał dalej, — rzekł Ignacy. — My ledwieśmy się wlekli w ostatkach armii, pozabawieni będąc koni, obuwi i pożywienia.

— A tak! — potwierdziła znow jejmość.

Namyśliwszy się, dodała:

— A my tu przed przechodem wojsk schowały się z córką i z tym naszym sługą, Telesforem. Synów niema, jeden był, to i zginął. Niema. Córki dwie drugie zamężne w Witebszczyźnie. Ta tylko, Kostusia. Piękna, ale cóż, kiedy wojenne takie nieszczęśliwe czasy, że o kawalerach to i nie pytaj się. Niema.

— Ale ot, mamol! — upomniała niecierpliwie matkę panna. — Pan pewno głodny, to jeść raczej prosić, niż rozpowiadać.

— Otóż to, — rzekła matka. — My już i zapomniawszy, jak ludzi przyjmować. Prosimy pięknie pana kawalera.

Ignacy ruszył. Jeszcze usprawiedliwiał się ze swego stroju. Ale na to panna odpowiedziała mu krótko i prosto:

— Nie masz się pan z czego wymawiać: samam mu to dała, i jakie jest, wiem dobrze. Mnie to raczej pana przepraszać, ale innego nie mamy.

Przeszli na drugą stronę sieni. Tu był pokój duży, równie niski. Zasiadli do wieczerzy zastawionej na grubym obrusie, pod świecznikiem dwuramiennym, gdzie płonęły łójówki. Dano jakąś kaszę gorącą, ze skwarkami.

— Zapieramy, tylko się zmierzchnie, okiennice, żeby do światła nie zwabiali się źli ludzie, — prawiła jejmość. — Bogu to jednemu wiadomo, co z tego wszystkiego będzie.

Panna bacznie zważała na gościa. Podsuwała mu, zapraszała. Ignacemu biło serce.

Panna miała szczególny sposób spoglądania, gdy, trzymając oczy na talerzu, nagle podnosiła powieki i zwracała do niego swe wymowne, czyste, mocne źrenice, lśniące w owalu niebieskawego białka, pod czarnym, promienistym łukiem rzes. Był to jakby ustęp z jakiejś pieśni, skończony, zamknięty i cały, gdy znow opuściła powieki.

Ruchy miała powolnie się zaczynające, i giętke. Zdawało się, że to wszystko ustawicznie coś mówi, coś znaczy, odnosi się do wszystkiego do jakiejś treści, jakby spełniała jakiś rytuał z łatwością i przyjemnością.

Ignacy trwał w zawieszeniu: czyhał na zrozumienie tego czegoś, i to go napawało rozkoszą, niecierpliwością, zaciekłością. Gdy mu mijało to wyteżenie, za każdym razem uczuwał się czemś z nią zbliżony.

W czasie tego jedzenia poznał ją z mnóstwa stron. Ruchy giętkiej szyi pod ciężarem włosów na karku, zarys policzków, podbródka cienkiego a krótk-

kiego, profil, wgłębienie oczu pod czołem, ruchy powiek, ruchy ramion okrągłych i pełnych, ruchy rąk, wypukłość biustu. Ujrzenie powtórne tego samego szczegółu zalewało go wdzięcznością i słodyczą. Ujrzenie nowego sprawiało mu tak silną rozkosz, że przestawał słyszeć, co mówiono. Oczyma błyszczącymi jak w gorączce upewniał się, że to wszystko jest przed nim, i właśnie w tej pannie. Nie pojmował.

Siedzieli jeszcze i rozmawiali, gdy przyszedł Telesfor. Wszedł i stanął.

— Ten drugi zbudził się, — rzekł, — i coś powiada, no rozumieć jemu trudno.

Ignacy, jak otrząśnięty niespodzianiem ze snu, zerwał się i z trudem ruszył ku drzwiom, usprawiedliwiając się przed kobietami. Ale one także wstały, i poszły za nim.

Ignacy stanął nad leżącym. Całe jego zajęcie poszło teraz ku towarzyszkowi.

Stało się nawet mocniejsze, lepsze, jakby dojrzało i wzmogło się przez krótki czas wieczoru.

— Jakże? — spytał. — Jesteśmy w gościnnym domu. Jak się kolega czujesz?

— Dobrze, — odrzekł Bromirski z trudem. — Gdyby umyć nogi, pała.

— To ja, — powiedziała żywo panna, wysuwając się.

Zmęczone oczy Bromirskiego przeszły po niej. Patrzyła na niego pilnie, czy się zgodzi.

— Ech, — rzekł, — to nie panińska robota. Dziękuję, ładna panienko. Ale to już my we dwu...

Zostali tedy sami. Bromirski usiłował się umyć. Z niepokojem zauważył Ignacy zupełną jego bezsilność. Nacierał i mył go sam. Ubrał go w bieliznę, opatrzył mu nogi. Bromirski nawpół spał. Przynieśli mu jedzenie, którego mało co przełknął, i znow się położył.

Ignacy, widząc, że usypia, powrócił do stołowego.

Znow przeniósł wszystkie myśli na tę czarującą pewność, że znowu ujrzy te zielone oczy pod czarnymi brwiami, czarny kask włosów, pod nim czoło, szyję, profil, usta precudowne, mówiące.

Wszedł z pośpiechem, którego nie mógł pohamować. Co za szczęście: panna siedziała sama, przy kominie, w którym leżały węgle. Wieczorem nie palono z przeczności.

Podniosła głowę, jak przewidział. Podniosła wielkie oczy żywe i czyste, jak przewidział. I z uśmiechem poważnym, pytała go żywo:

— Usnął?

— Spi.

— Nie chciał jeść?

— Trochę zjadł.

Ignacy siadł na stołku, także przy kominie. Umiłkli oboje. Ona szyla pilnie i sprawnie.

Ignacy patrzył, i znow miał to wrażenie, że ona jest istotą zupełnie obcą, inną, niepojętą, działającą wedle rytuału nieznanego, tajemniczą i słuchającą innego porządku niż wszyscy.

Dumał nieruchomo i zsuwał się w coraz głębsze, bardziej odwieczne i coraz prostsze warstwy myślenia.

Było mu niewypowiedzianie dobrze. Nawet nie patrzył na nią, tylko na węgle, ale czuł ją tak blisko.

Dumał obrazami, które to szły, to stawały, to wracały się uparcie do jednego, to płynęły dalej. Były bez składu i ładu. Tyczyły się jakiś wspomnień urywkowych, jakichś chwil obojętnych z dzieciństwa. Wynurzały się uśmiechnięte z blaskiem prześlicznym dziecinne szczęścia, by się rozwiać od razu w nicość, ustąpić miejsca innym. Zostawało po nich bolące prawie pragnienie zamknięcia, ujęcia tego wszystkiego co minęło bezpowrotnie. Wzbierało w nim wielkie współczucie dla rzeczy mijających, jakby on sam tylko stał poza niemi. Oziadało go to całego, i cały świat był mu poddany, jak w wieczornej, kojącej ciszy i złocie leżące pola.

Chciał to wyrazić i wskazać swej towarzysce, aby oboje tak uciszeni stali ponad tym wszystkim co się zdarzyć może. Nie spostrzegł się, że mówi do niej w myśli najpiękniejszymi i najczulszymi słowami. Ona zasłuchiwała się jakby w to w milczeniu.

Nagle rzekła zniżonym i delikatnym, wnikliwym głosem, jakby odpowiadała na jego marzenia:

— Dość na dzisiaj. Późno już, i pora iść spać.

Wstała, on także. Wyciągnął rękę, bo nie mógł tak odejść. Podała mu swoją z uśmiechem. Trzymał ją chwilę jak czar. Potem odszedł, objawiając ją jeszcze i jeszcze oczyma.

Zasnął, mając nieustanny czar tego poznania nad sobą. Zbudził się rano świeży, natężony cały jak struna łuku w stronę przygód nowych.

— Kocham się, nie ulega wątpliwości. Kocham